

GAZETA POLSKA

STREFA WÓLNÉGO SŁOWA

190 lat „Gazety Polskiej”

„Gazeta Polska” przed powstaniem listopadowym

*Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,
Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.*

(A. Mickiewicz, III. cz. „Dziadów”)



Piotr Bieliński – ideał Polaka-patrioty, znany z „wielkiej sumiennosci, skrupulatności, stałego i niezłomnego charakteru”

Dodatek pod redakcją

Agnieszki Kowalczyk

„Gazeta Polska” sprzed 1830 r. przynosi nam do Królestwa Kongresowego, pozwalając poznać sytuację zniewolonego narodu i wczuć się w atmosferę przedpowstaniowych wypadków. Jednocześnie naszym przewodnikiem na tej historycznej drodze będzie współtwórca i redaktor dziennika Maurycy Mochnacki, który w swoim monumentalnym dziele „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831” odsłoni realia życia Polaków pod berłem Mikołaja I i wprowadzi czytelnika w działalność organizacji konspiracyjnych. Poznamy więc tak „oficjalną” wersję wydarzeń, jak i historię „podziemną” Królestwa Polskiego znaczoną nazwiskami największych patriotów, lecz także zdrajców i carskich zauszników. Niech mottem naszej peregrynacji w głąb męczeńskich dziejów narodu staną się słowa Piotra Wysockiego z III części „Dziadów” Mickiewicza:

[...] *Nasz naród jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi;
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.*



Walerian Łukasiński (według litografii Józefa Szymona Kurowskiego). Twórca Wolnomularstwa Narodowego i Towarzystwa Patriotycznego



Wielki książę Konstanty

Prasie Królestwa Kongresowego odebrano całkowicie głos w sprawach politycznych już 22 maja 1819 r., gdy na posiedzeniu Rady Administracyjnej na wniosek namiestnika Józefa Zajączka uchwalono dokument, z którego wynikało, że „wszystkie gazety i pisma periodyczne bez żadnego wyjątku podlegać odtąd mają cenzurze rządowej”.

1

Narodziny „Gazety Polskiej” w mrokach narodowej niewoli

Rok 1826 to czas tryumfu carskiego despotyzmu w stolicy Królestwa Kongresowego. Każdy przejaw wolności Polaków tłumiony zostaje w zarodku, a wielki książę Konstanty i senator Nowosilcow sterują machiną terroru, najlepiej jak potrafią. Konstytucja jest łamana, obrady sejmu odbywają się za zamkniętymi drzwiami, cenzura godzi w wolność słowa drukowanego, a tajna policja sieje spustoszenie wśród „podziemnych” organizacji niepodległościowych. Ofiarami aresztowań są m.in. członkowie Towarzystwa Patriotycznego oskarżeni o zdradę stanu, o tajne porozumienie z rosyjskimi dekabrystami, którzy 14 grudnia 1825 r. wystąpili przeciwko carowi.

„W styczniu i w lutym r. 1826 [...] – pisał już z perspektywy lat Mochnacki – w Warszawie panował [...] najokropniejszy terroryzm. Mikołaj podpisał bratu blankiety na głowy i wolność wszystkich Polaków. We dnie więc i w nocy porywano ludzi do więzienia bez żadnej uwagi na konstytucję; objąć ich w sobie nie mogły ani Karmelity, ani pałac Bryłowski; musiano więc inne pomniejsze zapewnić kryjówki, jako Marcinkanki i lochy ratuszowe. [...] Przez cały rok trwała inkwizycja pod wpływem musu administracyjnego, z pogwałceniem wszelkich form zastrzeżonych prawem. [...] Fatalne Jabłonowskiego przedsięwzięcie wyzna-



Jacek Malczewski „Zestanie studentów”

wania wszystkiego [...] mnożyło liczbę ofiar, wpływało nadzwyczajnie [na] pogorszenie położenia jeńców stanu. Łukasiński, wezwany przez komisję z Zamościa, odstąpił swe rany jeszcze nie zagojone i zawołał: »Uważacie, panowie, czy to prawdą być może, co w takich boleściach wyznawałem” – i tak był straszny widok tego męczennika sprawy narodowej, że poruszył nieczułe nawet narzędzia obcego despotyzmu».

Co gorsza, Polakom nie wolno było otwarcie manifestować sprzeciwu wobec władzy. Próbowano im przecieżyć zakneblować usta, pozbawiając prawa do swobody wypowiedzi. Prasie Królestwa Kongresowego odebrano całkowicie głos w sprawach politycznych już 22 maja 1819 r., gdy na posiedzeniu Rady Administracyjnej na wniosek namiestnika Józefa Zajączka uchwalono dokument, z którego wynikało, że „wszystkie gazety i pisma periodyczne bez żadnego wyjątku podlegać odtąd mają cenzurze rządowej”. Sytuacja dziennikarstwa polskiego rysowała się więc beznadziejnie. Spod prasy drukarskiej wychodzić miały bezbarwne periodyki informacyjne odarte z treści istotnych dla Polaków. Władza dążyła do tego, by prasę pozbawić jakiegokolwiek siły oddziaływania na opinię publiczną, tak by przestała być obiektywnym zwierciadłem faktycznego stanu Królestwa Polskiego. Miała ona natomiast stwarzać obraz państwa prorosyjskiego odpowiadający oczekiwaniom władzy i przez nią kreowany.

W takiej to właśnie atmosferze zwątpienia i niemocy oraz w sytuacji wzmożonej inwigilacji społeczeństwa przez aparat śledczy, a prasy przez cenzurę, zrodziła się 1 grudnia 1826 r. „Gazeta Polska”. Okaże się ona z czasem najlepszym bodaj periodykiem doby przedpowstaniowej i okrzyknięta zostanie jednogłośnie „królową gazet”.

2

„Gazeta Polska” i jej „podziemie”

Pierwszymi redaktorami „Gazety Polskiej” byli Ksawery Bronikowski i Maurycy Mochnacki – „ludzie podziemia” walczący słowem i czynem o wolną Polskę. Ich biografia z okresu przedpowstaniowego ma dwa swoje oblicza. Z jednej strony jako publicyści drukowali w „Gazecie Polskiej”, z drugiej zaś angażowali się w działalność konspiracyjną. Obaj należeli do Związku Wolnych Polaków, tajnej organizacji niepodległościowej zrzeszającej studentów i absolwentów Uniwersytetu Warszawskiego w latach 1819–1823. Na jej czele stali Tadeusz Krępowiecki, Wiktor Heltman, Ludwik Piątkiewicz, a w szeregi związku wstąpili też: Seweryn Goszczyński, Stanisław Jachowicz i Józef Kozłowski. Ta czterdziestoosobowa siatka konspiracyjna szerzyła hasła niepodległościowe, nawoływała do walki z zaborcą, postulowała

O wyjątkowości „Gazety Polskiej” zdecydował przede wszystkim fakt, że była ona pierwszą polską gazetą codzienną! I fakt ten będzie obojętny dla konkurencyjnych pism, które rywalizując z nowo powstałym, podejmą wysiłki, by mu dorównać, zwiększając swoją częstotliwość wydawniczą. Tym sposobem za sprawą „Gazety Polskiej” dokona się swoista rewolucja w naszej prasie – oto powstawać zaczęły periodyki codzienne. Dzięki temu zjawisku, mimo nieprzerwanej działalności cenzury, czasopisma z jeszcze większą wnikliwością i dociekliwością śledzić będą bieżące wydarzenia z życia Królestwa Kongresowego i zagranicy. Pojawienie się „Gazety Polskiej” na rynku wydawniczym pozwoliło więc wyjść prasie z dotychczasowej stagnacji, ożywiło i intensyfikowało jej działalność. Zachęcało wreszcie do stawania w szranki z cenzorami, którzy mogli być pewni, że dziennikarstwo polskie nie wegetuje, lecz jest siłą, z którą należy się liczyć.



pełne zjednoczenie ziem polskich, głosiła idee liberalne. Wykrycie Związku Wolnych Polaków przez władze w 1821 r. pociągnęło za sobą falę aresztowań i przesłuchań. Uwięzieni w klasztorze Karmelitów i poddani śledztwu zostali m.in. Bronikowski i Mochnacki. Udało się im jednak opuścić więzienne cele i choć byli pod stałym dozorem policji, nie zaprzestali działalności patriotycznej. W przyszłości obaj wezmą czynny udział w wypadkach powstania listopadowego i obaj zostaną jego dziejopisami.



Józef Bohdan Zaleski. Romantyczny bard Ukrainy

Bronikowski stanie się pomysłodawcą wydania „Pamiętników polskich” – żywej skarbnicy wiedzy o powstaniu, na którą złoży się szereg relacji bezpośrednich uczestników tego historycznego starcia Polaków z carską potęgą. Jego zamierzeniem będzie wydanie „ksiąg narodu polskiego” współtworzonych przez samych Polaków-emigrantów, którzy przeobrazi się mieli w pamiętnikarzy odtwarzających najnowsze dzieje naszej ojczyzny. „Nie ma prawie jednego emigranta – pisał o swoim projekcie Bronikowski – który by w życiu swoim przynajmniej w jednym dniu nie był świadkiem jakiegoś ważnego wypadku, który by nie patrzył był własnymi oczyma na zdarzenia ze sprawą naszą związek mające. Niech opisze co widział, co sobie przypomina, co go zajęło, w czym błędził, co mu się zdaje być zaszczytem, co haniebnym dla Polaka, w czym widział środki nieprzyjacielskie do zguby naszego narodu dążące [...]”. Znajdą się tu chociażby wspomnienia kasztelana Narcyza Olizara, studenta Uniwersytetu Wileńskiego Andrzeja Przyałgowskiego, podpułkownika Michała Jackowskiego czy relacja o prześladowaniu i męczarniach zakonnic w Mińsku, Witebsku i Połocku... oraz wiele jeszcze innych zapisków pamiętnikarskich zebranych przez Bronikowskiego aż w trzy obszerne tomy. Mochnacki natomiast wyda na emigracji monumentalne dzieło historyczne „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831”. Pierwszy jego tom poświęci historii Królestwa Kongresowego z lat 1815–1830, natomiast w drugim odsoni przebieg narodowego zrywu, poczynając od Nocy Listopadowej, a kończąc na wyborze Rządu Narodowego w ostatnich dniach stycznia 1831 r.

Jeszcze przed wybuchem powstania listopadowego Bronikowski i Mochnacki jako aktywni publicyści „Gazety Polskiej” chcieli przeobrazić świadomość Polaków, informować ich o bieżących wypadkach w kraju, ukazywać obiektywnie sytuację międzynarodową, przemyślać między wierszami treści patriotyczne... Słowem, chcieli być jak najbliższe życia narodu i życie narodu kształtować.

„*Duch rewolucyjny
był natenczas
w powietrzu Polski.
Powstanie było
w Warszawie,
a prawdziwym rządem
tej insurekcji wszystkich
stanów był Sąd
Sejmowy*”

(M. Mochnacki, „Powstanie narodu polskiego.”)

W momencie gdy powstawała „Gazeta Polska”, na przełomie lat 1826/1827, ważyły się losy uwięzionych członków Towarzystwa Patriotycznego. Cała ówczesna Warszawa z wzrastającym niepokojem czekała na ostateczną decyzję cara Mikołaja I. Zimą roku 1827 tak na przykład zapamiętał Antoni Edward Koźmian: „Choć żałoba [po śmierci Aleksandra I] już minęła i nie brakowało na paniach i pannach, żądających zabaw i tanów, młodzież cała dała sobie słowo, iż wobec smutku narodowego i przedłużającego się uwięzienia współrodaków tańcować nie będzie. [...] Sprawa uwięzionych dotąd w zawieszeniu zostawała, choć komisja inkwizycyjna zakończyła swoją czynność”. Ostatecznie 19 kwietnia 1827 r. Mikołaj I zatwierdził procedurę Sądu Sejmowego, a treść dokumentu trafiła do wiadomości publicznej za pośrednictwem prasy warszawskiej, w tym „Gazety Polskiej”. Los oskarżonych patriotów zawisł teraz od decyzji 42 senatorów, na których obróciły się oczy całego narodu. Sąd Sejmowy znalazł się w bardzo trudnej sytuacji, gdyż z jednej strony polska opinia publiczna oczekiwała uwolnienia przywódców Towarzystwa Patriotycznego, uznając ich za męczenników sprawy narodowej, z drugiej zaś presję wywierał car Mikołaj I, domagający się wyroku potępiającego i surowej kary dla „zdrajców stanu”. Dwór petersburski sformułował nawet informację dla prasy francuskiej, w której przedstawił jasno swoje stanowisko: „Wyrok na przestępców będzie, jak powiadają, wydany zgodnie z zasadami kodeksu polskiego. Oczekuje się, że spośród tych, którzy są najciężej skompromitowani, dwaj będą skazani na śmierć”. Gdyby oskarżeni zostali skazani, wówczas wyrok miałby dla cara jednoznaczną wymowę – świadczyłby o lojalności społeczeństwa polskiego względem monarchy i o odsunięciu się Polaków od działalności konspiracyjnej. Proces nabierał więc charakteru politycznego i propagandowego dla rosyjskiego zaborcy, ale dla Polaków stawał się miernikiem ich patriotyzmu i przejawem walki o godność narodu w warunkach niewoli.

Entuzjazm wśród Polaków wzbudził fakt, że prezesem Sądu Sejmowego został senator-wojewoda Piotr Bieliński – ideał Polaka-patrioty – o którym jeden ze świadków procesu, Tadeusz Bieczyński, pisał, iż „znany był z wielkiej sumienności, skrupulatności, stałego i niezłomnego charakteru, oraz był jednym z najdawniejszych i najzasłużeńszych obywateli”. Wierzono, że sąd pod przewodnictwem Bielińskiego zmanifestuje swoją niezależność, opierając się skutecznie presji wywieranej przez Nowosilcowa. Sytuacja zdawała się sprzyjać patriotycznie usposobionym senatorom. Ich szeregi zasilił Adam Jerzy Czartoryski, a 12 czerwca 1827 r. Warszawę obiegła wiadomość o śmierci członka senatu, zniechęconego biskupa Wojciecha Skarszewskiego, targowiczana, który podczas insurekcji kościuszkowskiej został aresztowany i jako zdrajca skazany na karę śmierci przez Sąd Kryminalny Wojskowy. Cudem uniknął szubienicy, a potem jako wierny poddany cara piastował wysokie godności kościelne i państwowe. Podczas pogrzebu biskupa jeden z warszawian odważył się nawet opasać jego trumnę grubym konopnym sznurem, co miało stanowić aluzję do wydarzeń z 1794 r. „Publiczność warszawska, jak komentował Mochnacki, uważała wydarzenie to za wymierzoną karę bożą, a dla więźniów za najlepszą wróżbę ich losu”.

„Gazeta Polska” śledziła z uwagą rozgrywane się w Warszawie wypadki. Nazajutrz po pierwszym posiedzeniu Sądu Sejmowego (15 czerwca 1827 r.) na jej łamach zamieszczone zostało sprawozdanie z obrad oraz dekret Mikołaja I z wymienionymi nazwiskami oskarżonych i składu sędziowskiego. Dostęp do informacji na temat procesu był celowo utrudniany przez księcia Konstantego, o czym dowiadujemy się szczegółowo z relacji Mochnackiego, który nie mogąc w sposób otwarty mówić o wszystkim na łamach „Gazety Polskiej”, uczynił to później jako autor dzieła „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831”:

„Nieprzebrane mnóstwo ludu cisnęło się do pałacu Krasieńskich, gdzie sąd odprawiał swe posiedzenia. Konstanty, nie cierpiący gminu, w porze tych obrad był zarazem jego dozorcą policyjnym i mistrzem ceremonii: zabronił wejścia do sali bez munduru i bez zapisania swego nazwiska w księgę na to umyślnie przygotowaną, aby ci, co weszli, obawiali się potem przesładowania z jego strony. Żeby zastąpić więźniów przed publicznością, kazał narządzić przepierzenie, z którego tylko wierzchołki ich głów wyzierały. Lud, odepchnięty z przedsienu sądu, zalegał dziedziniec Krasieńskich; Konstanty rozciąga linię szwadronu ułanów, ażeby i do dziedzińca nie miał przystępu. Karety osłonięte firankami, przywożące do



Pałac Krasieńskich w Warszawie. Toczyły się w nim obrady Sądu Sejmowego

sądu i odwożące do Karmelitów jeńców stanu, miały eskortę żandarmów; zbierających się koło tych powozów policjanci rozpędzali kijami, i sami brali za to kije, także wiele osób z tego powodu aresztowano”.

Mimo radykalnych środków stosowanych przez władze mieszkańcy stolicy znali w szczegółach przebieg procesu. Powszechnie wiadano o wszystkim, co zdarzyło się na sali sądowej – o każdym słowie, o każdym incydencie. Cała Warszawa żyła tym procesem i wokół niego tworzyła się niesamowita atmosfera. Naród w sposób otwarty manifestował swój patriotyzm i solidarność z oskarżonymi. Tłumy zbierały się na placu Krasieńskich. Przestano zważać nawet na szpiegów, rozprawiali zawzięcie o polityce w salonach, kawiarniach czy biurach. Hołowano warto-



Piotr Bieliński, prezes Sądu Sejmowego i „gorliwy miłośnik ojczyzny”

W nieprzeniknionych mrokach niewoli ogarniających Królestwo Polskie Mochnacki dostrzegł przebłysk nadziei – wielką ideę pozwalającą na zachowanie narodowej tożsamości. A była to idea „połączenia i niepodległości wszystkich części dawnej Polski”. Zrodziła się ona w łonie Towarzystwa Patriotycznego i tam znalazła swoich najwierniejszych wyznawców i propagatorów.

ściom patriotycznym, zakładając narodowy strój – czamary i konfederatki. „Ogrom publicznej niechęci – jak pisze Mochnacki – wszystkim wyrażał się sposobem, [...] przez kartelusze przybijane na rogach ulic i kościołów, w bajkach i satyrach, wierszem i prozą. Zjawiały się karykatury rysowane, nie litografowane. Ponieważ nie było wolności druku, więc pokątne krążyły pisemka, jadowite, złośliwe, zuchwałe, rewolucyjne, tym silniejszy czyniące skutek, że nie były drukowane, że policja śledziła ich autorów i nigdy wysłedzić nie mogła”.

Momentem przełomowym w pracy Sądu Sejmowego okazało się odrzucenie przez senatorów wyników pracy komitetu śledczego, powołanego wcześniej przez Konstantego, i podjęcie decyzji o przeprowadzeniu nowych dochodzeń bez kontroli prokuratora Wyczechowskiego (na co sam nieopatrznie wyraził zgodę). Nie da się ukryć, że był to krok milowy w sprawie poruszającej wszystkich Polaków i zarazem manifest niezależności Sądu Sejmowego. Władze zareagowały szybko i radykalnie, aby do prasy nie przeciekły niekorzystne dla nich informacje i nie wzbudzały „niepotrzebnego entuzjazmu” wśród Polaków. Ostatnia informacja z obrad sądu sejmowego, która ukazała się na łamach prasy Królestwa Kongresowego, zamieszczona została w „Gazecie Polskiej” 19 czerwca 1827 r. „Od 20 czerwca 1827 – jak podaje badacz Jerzy Łojek – sąd sejmowy zniknął zupełnie z wiadomości dziennikarskich: posiedzenia śledcze, wyrokowanie, zakończenie obrad w czerwcu roku następnego, raport dla cesarza – wszystko to dostawało się do wiadomości powszechnej jedynie drogą poufnych, z ust do ust przekazywanych informacji. [...] Potem już można by mniemać na podstawie gazet Królestwa, że w Warszawie nie toczy się w ogóle żaden proces polityczny”.

4

Tajna misja człowieka „Gazety Polskiej”. Anonimowa broszura i jej konsekwencje

Proces ciągnął się miesiącami ze względu na powolny postęp prac śledczych. Dopiero w marcu 1828 r., po wznowieniu posiedzeń plenarnych, oczy mieszkańców stolicy znów skierowały się na pałac Krasieńskich. Z napięciem oczekiwano na wydanie wyroku. „Gazeta Polska”, podobnie jak cała prasa Królestwa Kongresowego, zmuszona została do milczenia na temat sprawy, którą żyli wszyscy Polacy. Ale rozgorączkowany Mochnacki pragnął za wszelką cenę wpłynąć na decyzję senatorów, utwierdzić ich w przekonaniu, że jedyny słuszny wyrok to uniewinnienie oskarżonych. Jako publicysta „Gazety Polskiej” pragnął zabrać głos w imieniu całego narodu i otwarcie zaświadczyć o jego solidarności z patriotami posądzanymi o zdradę stanu. W tym czasie całą Warszawę obiegiła anonimowa broszura „Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego z okazji Sądu Sejmowego”, która rozpaliła serca i dusze Polaków. Jej autorem był w istocie Mochnacki, dla niepoznaki kreujący się na starca-patriotę, który przemawia do senatorów, pragnąc ich wzruszyć losem zniewolonej ojczyzny:

„Senatorowie! Nie mamy ojczyzny, pamięć tylko ocalała, że ją mieliśmy. [...] Jesteśmy prowincją są-

siedzkiego mocarstwa, zawojowaną, rządzoną przez prokonsulów, gnębioną srodze, gdzie owe szkodliwe przeciw zasadom politycznego życia działanie na zagładę rodu i imienia naszego trwa ustawicznie. [...] Od chwili, jak pierwszy raz obce wojsko do Polski wtargnęło, nic się tu u nas nie polepszyło [...]. Jak przedtem, tak i po dziś dzień mamy słuźalców, co nam rozkazują, szpiegów, podszyzuwaczów [...]. Zapytajcie się stróżów tajemnych więzień, których pełno jest w stolicy, a powiedzą wam, jacy ludzie cierpieli za zdania i myśli swoje w tym kraju konstytucyjnym [...]. Nigdzie despotyzm nie odsłonił lica swego z taką jak u nas, a prawie wszeteczną, bezwstydną. Nigdzie śmieiej nie zrzucił z siebie larwy [maski], co go w innych krajach i czasach okrywała. [...] Biada zwyciężonym! Otóż godło



W politycznej broszurze „Głos obywatela z Poznańskiego do Senatu Królestwa Polskiego z okazji Sądu Sejmowego” Maurycy Mochnackiego, pióra najwybitniejszego publicysty „Gazety Polskiej” z tego okresu, pojawia się zapewne najbardziej wymowne i poruszające rozumienie pojęcia ojczyzny, wydobyte z samej głębi polskiej duszy:

„Senatorowie! Wy zapewne odgadujecie, co to jest ojczyzna, owa Jerozolima, owa święta ziemia obiecana pobożnym i wiernym [...]. Zaprawdę, nie jest nią ta piaszczysta przestrzeń Mazowsza, ani Wisła przeryniająca niezmiernie okiem równiny wasze, ani stolica, ani wspaniałe w niej siedliska władz rządowych, ale jest nią owa wielka myśl polityczna niepodległości i nadzieja, że kiedyś, za przewodnictwem i pomocą Bożą, w jedną nierozdzieloną sprężymy całość, że będziemy twierdzą Europę, pogromem dla złych sąsiadów i wybranym Słowiańszczyzny ludem. Te tylko wyobrażenia, senatorowie, są dzisiaj Polską”.

naszej dzisiejszej egzystencji. Na mowę są donosiciele, na myśl są więzienia, na pisma jest cenzura, jakiej nie bywało za czasów inkwizycji hiszpańskiej [...]”.

W nieprzeniknionych mrokach niewoli ogarniających Królestwo Polskie Mochnacki dostrzegł przebłysk nadziei – wielką ideę pozwalającą na zachowanie narodowej tożsamości. A była to idea „połączenia i niepodległości wszystkich części dawnej Polski”. Zrodziła się ona w łonie Towarzystwa Patriotycznego i tam znalazła swoich najwierniejszych wyznawców i propagatorów – teraz zasiadających na ławie oskarżonych. Ich najcięższą winą miała być przynależność do tajnej konspiracji, której celem, jak głosił akt oskarżenia, było odzyskanie niepodległości Polski w granicach sprzed drugiego rozbioru.

„Wiedźcie o tym starcy – zwraca się do senatorów w anonimowej broszurze – że myśl połączenia w jedną całość rozerwanych części ojczyzny naszej jest ostatnią, jeszcze nie dobytą twierdzą, w której się obwarowała dola nasza. To jedno stoi nam teraz za skarby, za ziemię utraconą, za liczne zbrojnych hufców zastępy, w tym jednym mieszczą się bujne nasiona przyszłej dzielności naszej. Jest w tej myśli tarca bezpieczeństwa publicznego, jest wzięcie zemsty z łupieżców, jest kara za przeszłe i teraźniejsze winy, jest sąd, jest dekret na bezbożnych, zaprzędanych, odrodnych. [...] Całość ojczyzny nierozdzielna! Słowa te potężne, dzielne i nad miecz z obu stron ostrzejsze [...]”.

5

Piotr Bieliński bohaterem „Gazety Polskiej”, a jego pogrzeb patriotyczną manifestacją

Wreszcie 22 maja 1828 r. Sąd Sejmowy wydał wyrok, na który w wielkim napięciu czekali wszyscy Polacy. Oto senatorowie przytłaczającą większością głosów uznali oskarżonych za niewinnych! Prezes sądu, Piotr Bieliński, ogłosił, że „[...] upada wniesione oskarżenie przez prokuratora królewskiego o popełnienie czynu zbrodni stanu”. Mimo iż zabroniono informowania o wyroku opinii publicznej oraz ogłaszania go w prasie, to i tak tłum warszawian zalegający plac przed pałacem Krasińskich wiedział już o wszystkim. Wiadomość przekazywana z ust do ust obiegła miasto lotem błyskawicy. Zebranych ogarnęła euforia. Wśród nich z pewnością był i Mochnacki, który pamiętnego dnia też święcił swój tryumf jako autor „Głosu obywatela z Poznańskiego” – owej słynnej mowy obrończej oskarżonych, którą czytała cała Warszawa. W tym symbolicznym starciu z tyranem Mikołajem I Polacy odnieśli zatem wielkie zwycięstwo, walcząc o swe prawo do bycia narodem. Piotr Bieliński, przesyłając carowi do Petersburga wyrok sądu i sprawozdanie z procesu, pisał 30 czerwca 1828 r.: „Oskarżeni, przyznając jednomyślnie, że narodowość była jedynym celem ich związku, odwołują się dla usprawiedliwienia tego celu do traktatu wiedeńskiego. Poczytują oni to dobroczynne dzieło cesarza Aleksandra za rękojmię narodowości daną mieszkańcom dawnej Polski (jaką była przed rokiem 1772), to jest za rękojmię prawa, na mocy którego wolno im nadal pozostać Polakami i mieć własną reprezentację, własne instytucje, pod jakimkolwiek znajdują się panowaniem”.

Opinia publiczna wciąż oczekiwała oficjalnego ogłoszenia wyroku, którego car długo nie chciał zatwierdzić. Tę atmosferę wzmagającego się niepokoju przerwała wieść o śmierci senatora Piotra Bielińskiego, który, jak donosiła „Gazeta Polska”, 6 marca 1829 r. „zakończył życie [...] z rana o godzinie 2”. Podczas gdy prasa warszawska powściągliwie i ostrożnie pisała o Bielińskim, który po uniewinnieniu oskarżonych członków Towarzystwa Patriotycznego popadł w niełaskę cara, to „Gazeta Polska” już dwa dni po śmierci senatora zamieściła na swoich łamach wspomnienie o zmarłym autorstwa Juliana Ursyna Niemcewicza. Ten znany wszystkim ze swoich zasług dla ojczyzny twórca „Powrotu pośła”, nazywany nawet przez Lacha Szyrmę „Człowiekiem-Polską”, wygłosił też mowę pożegnalną nad grobem prezesa Sądu Sejmowego. Patriotyczny akt złożenia hołdu Bielińskiemu – obrońcy bohaterów narodowej sprawy – był niewątpliwie aktem odwagi redaktorów „Gazety Polskiej”, którzy ośmielili się w sytuacji potępienia senatora przez zaborcę zamieścić jego portret jako „gorliwego miłośnika ojczyzny”, czczonego wręcz i uwielbianego przez swój naród:

„Trudno się tu rozwodzić szeroko nad cnotami i zasługami szanownego męża tego. Przeżył on pod pięciu królami, trzy części wieku całego: zoczył w młodości swej kilka dni pogodnych, przebył przez resztę życia okropne burze i klęski. Lecz i wśród tych, Boga [...] i ojczyznę mając na oku, na ważnych urzędach

[...] zawsze się okazywał pilnym, nieskazitelnym, niezachwianym w cnocie. [...]

I któż z tylu ciężkich zapasów wyszedł nieskazitelniejszym, jak Piotr Bieliński? [...] Przykładny chrześcijanin, ściągnął błogosławieństwo niebios; wierny przyjaciel zachował ich do zgonu; gorliwy miłośnik ojczyzny zyskał miłość i uwielbienie prawych jej synów. [...]

Bądźmy spokojni o duszę szanownego ziomka naszego. Sprawiedliwość wszechmocnego, pobożność i cnoty zeszłego, już go umieściły w błogosławionych przybytku, już się wstawia za nami.

Przyjmij szanowny mężu, tę ostatnią łzami skropioną cyprysu gałązkę, którą rzuca na grób twój ten, który przez blisko pół wieku, w radzie publicznej był towarzyszem twoim, i przyjacielem do zgonu. – J. U. N. [Julian Ursyn Niemcewicz – A.K.]”.

Pogrzeb Bielińskiego przeobraził się w manifestację narodową. Tłumy Warszawiaków ruszyły za konduktem, by pożegnać wielkiego męża stanu. Patriotyczne nastroje ogarnęły studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy zamiast na wykłady udali się na uroczystości żałobne. Z wyjątkiem może tylko dwóch – syna prezydenta Warszawy Woydy i... Zygmunta Krasińskiego, którego ojciec, generał Wincenty Krasiński podczas procesu sądowego zagłosował przeciwko uniewinnieniu oskarżonych i ostentacyjnie obnosił się ze swoją wiernopoddańczą postawą względem cara.

„Gazeta Polska” w tym doniosłym momencie znów staje po stronie narodu domagającego się poszanowania wolności i respektowania przez władzę rosyjskie wyroku uniewinnienia przywódców Towarzystwa Patriotycznego, żywo relacjonując przebieg uroczystości

Mochnacki w „Powstaniu narodu polskiego” o patriotycznych nastrojach ogarniających tłumy Polaków podczas pogrzebu Bielińskiego:

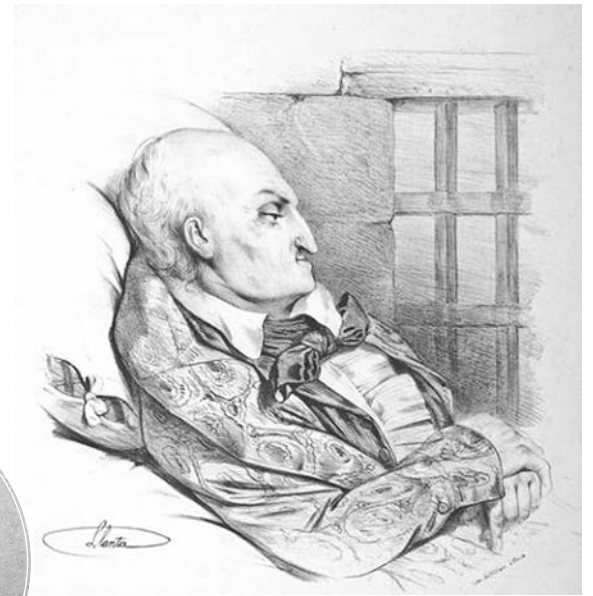
„Pogrzeb jego był jedną z najżywszych scen popularnych w stolicy, wynikłych z procesu patriotów: młodzież szkolna towarzyszyła zwłokom tego senatora do grobu, wychłostała policję chcącą temu zapobiec z rozkazu w. księcia i podarła w szmaty całun trumnę okrywającą, bo każdy chciał mieć byle jaką pamiątkę po mężu, który tak górnym przemawiał do cara”.

pogrzebowych prezesa Sądu Sejmowego:

„W dniu 12 b. m. o godzinie 4 po południu [...] zgromadzili się w mieszkaniu nieboszczyka senatorowie świeccy i duchowni, wielu wyższych urzędników, dziedzic zaś domu i przyległe ulice zajęło niezliczone mnóstwo ludu, pragnącego przypatrzeć się obrzędowi, co tak silnie zasmucone serca wszystkich pociągał. Przed zniesieniem ciała na wóz żałobny, zabrał głos senator kasztelan Bieńkowski, w którym wykazał wielkość cnót publicznych, co Bielińskiego odznaczały, a zarazem trudności towarzyszące ich pełnieniu. Około godziny 6tej przed wieczorem, ruszył kondukt ulicami: Długą, Miodową, Senatorską, Krakowskim Przedmieściem ku kościołowi Św. Krzyża. Orszak rozpoczynały zakony, duchowieństwo świeckie, kapituła metropolitalna i Celebryjący JW. JX. Biskup Pawłowski. JWW. Kasztelanowie: Gliszczyński niósł Order Orła Białego, Wichliński Św. Stanisława, Wodzyński Legii Honorowej, a hr. Bniński serce nieboszczyka. – Okna i balkony ulic, przez które kondukt żałobny przechodził, były napełnione, bo ulice objąć nie mogły całego orszaku wielbiciele zmarłego; a tymi byli wszyscy senatorowie, wszyscy zasługi jego umiejący ocenić obywatele”.

6

Co to jest wolność z „łaski Moskwicina”? Losy męczenników narodowej sprawy



Stanisław Sołtyk na łożu śmierci (litografia de Villaina)

Wreszcie w marcu 1829 r. pułkownik Maurycy Hauke przywiózł z Petersburga decyzję Mikołaja I potwierdzającą wyrok Sądu Sejmowego, którego postanowienia łamano na każdym kroku jeszcze przed śmiercią Bielińskiego. Mochnacki wspomina, że wielki ksiądz Konstanty dążył za wszelką cenę do podważenia wyroku i jego potępienia przez Radę Administracyjną, która ostatecznie nie ugięła się i opowiedziała po stronie senatorów, a tym samym narodu. Członkowie Towarzystwa Patriotycznego – Wojciech Grzymała, Andrzej Plichta, Seweryn Krzyżanowski, Piotr Łagowski, Franciszek Majewski i Stanisław Zabłocki – choć uniewinnieni, nie zostali od razu uwolnieni, lecz wysłano ich w kibitkach do Petersburga, „gdzie w podziemnych kazamatach Petropawłowskiej kripости, na słomie przesiąkłej wilgocią z murów, o chlebie i o wodzie cały rok przesiedzieli. [...] znaczną liczbę więźniarskich [z] ziem zabranych wywieziono na Syberię, a senatorowie, członkowie Sądu Sejmowego, nie mogli się z stolicy oddalić, to jest byli pod dozorem policji aż do potwierdzenia wyroku przez króla [...]”. Sprawa Towarzystwa Patriotycznego z całą mocą dowiodła niezłomności Polaków, ich nieugiętego charakteru w walce z carskim despotyzmem. Ikona patriotyzmu uczynił Mochnacki w swym historycznym dziele postać pułkownika Piotra Łagowskiego, który w szczególnie okrutny sposób potraktowany został przez carski aparat przemocy. Komisja śledcza, nie mogąc wymóc na nim zeznań po całorocznym badaniu, skazała go „na chleb i wodę, i leżenie na gołej ziemi”. Ale Łagowski przyjął niezłomną postawę, chcąc zakończyć życie śmiercią głodową i w ten sposób „wstrzymać despotę od podobnego z innymi więźniami postępowania i ofiarą własnego życia przekonać w. księcia, że są charaktery, nad którymi i w więzieniu obca duma nie ma żadnej mocy”. Carewicz bezradny wobec decyzji Łagowskiego, po wielokrotnych próbach negocjacji z umierającym więźniem, obiecał mu wolność. Słowa jednak nie dotrzymał. Łagowski wywieziony został do Petersburga, a stamtąd po siedmiu miesiącach powró-



Krakowskie Przedmieście pod koniec XIX wieku, z lewej ul. Kozia. Tu w kawiarni „u Brzezińskiej” spotykali się romantycy z „Gazety Polskiej”

cił do Warszawy. Zamierzano zesać go na Syberię, ale nie dał się wziąć dobrowolnie. Gdy do jego celi wpadli żołnierze, by zabrać go gwałtem, próbował przebić się nożem, ale przeżył. Ten wypadek wywarł wielkie wrażenie na księciu Konstantym, postanowił darować więźniowi wolność pod warunkiem, że będzie używał jej w Rosji jako tam urodzony. Łagowski miał na to odpowiedzieć: „Nigdy, generale! [...] żywego mnie stąd nie weźmiecie, idź i powiedz w księciu, że tylko kości moje posłacie do Rosji”. Nareszcie – jak podaje Mochnacki – „tyle męstwem i niezłomnym uporem dokazał, że go po 36 miesiącach carewicz rzeczywiście uwolnił i zostać mu w Warszawie pozwolił”.

To tylko jedna z wielu biografii niezłomnych Polaków, o których losach opowiadał będzie Mochnacki w swym przekazie historycznym. Ten wybitny publicysta „Gazety Polskiej” w sposób niezwykle trafny ocenił działalność Sądu Sejmowego, wskazując, iż dał on Polakom prawdziwą lekcję patriotyzmu i stanowiąc przyszłe zarzewie powstania listopadowego: „Sąd Sejmowy [...] był więcej rewolucyjny w skutkach swoich niżeli samo Towarzystwo i więcej od niego kraj do powstania usposobił przez walkę z tronem, przez zwycięstwo nad nim odniesione, przez wyrządzenie bolesnego afrontu w księciu, przez potępienie jego poprzednich gwałtów tym, że mu ostatniego największego dokonać nie dopuścił – na koniec, przez zwrócenie na siebie i na Polskę uwagi całej Europy, przez nastroszenie wszystkich głów dobrze myślących w Polsce, przez niezmiernie rozszerzenie pierwiastka insurekcyjnego w atmosferze całej Polski”.

Nadszedł w końcu dzień uwolnienia członków Towarzystwa Patriotycznego, na który czekali aż trzy lata. Okazało się, że dla większości z nich – umęczonych, wycieńczonych do granic, trwających w ustawicznym strachu i oczekiwaniu na śmierć – powrót do normalnego życia na wolności nie był już możliwy. Cierpienia, których doświadczyli w więzieniu, odcisnęły niezatarte piętno tak na ich zdrowiu fizycznym, jak i w sferze psychiki. Dzięki wspomnieniom Tymoteusza Lipińskiego, ówczesnego historyka i pamiętnikarza, dowiadujemy się o losach uwolnionych. Listę narodowych męczenników otwiera Stanisław Sołtyk, który był tak osłabiony, iż w lekcyce niesiono go do syna, nie mógł też znieść światła dziennego, „jedna ręka mu uschła, w drugiej mała ma władzy, z trudnością poznaje znajomych. Co do innych: ks. Dembek zmarł od kilku miesięcy, Krzyżanowski, Majewski, Plichta, Grzymała w lipcu wywiezieni zostali do Petersburga [...], dwaj pierwsi [...] tamże odsiedzą karę więzienia; dwaj drudzy w tych dniach mają wrócić... O Zabłockim zaś nie można powziąć żadnej wiadomości, co się z nim stało”. Ignacy Prądzyński zaś, jeden z założycieli Towarzystwa Patriotycznego, jak podaje dalej Lipiński, „po trzech latach więzienia w klasztorze Karmelitów na Lesznie tak dalece utracił władzę nóg, iż chwiał się i o swej mocy postępować nie mógł. Gdy się meldował na pokojach, przystąpił do niego przejmie W. Książę, powitał i rzekł po francusku: »bądź przekonany, iż przez czas twego aresztu więcej od ciebie i twojej żony na tym cierpiałem« – a obróciwszy się do generała Hauke, ministra wojny, ozwał się: »Comptez lui ceci pour une campagne (niech pan mu to zaliczy jako kampanię wojenną)«”.

Żywym odbiciem sytuacji „uwolnionych” członków Towarzystwa Patriotycznego jest wypowiedź Więźnia – Konrada z „Prologu” III części „Dziadów”, dla którego „z taski Moskwicina” nie ma prawdziwej wolności:

*Mam być wolny – tak! nie wiem, skąd przyszła nowina,
Lecz ja znam, co być wolnym z łaski Moskwicina.
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany,
Ale wtłoczą na duszę – ja będę wygnany!*

7

Spisek w Szkole Podchorążych

Na temat sytuacji w kraju o tym, czego nie dało się powiedzieć głośno, rozprawiano w mieszkaniu u Mochnackiego na Freta lub u Bronikowskiego na Daniłowiczowskiej. Tajne rozmowy prowadzono aż do świtu, gdyż koniec 1828 r. przyniósł powstanie nowej organizacji konspiracyjnej, która zrodziła się w warszawskiej Szkole Podchorążych Piechoty i do której wciągnięci zostali niebawem romantycy z „Gazety Polskiej” – Mochnacki Bronikowski i Zukowski, a także ich współtowarzysze – Goszczyński, Zaleski i Nabelak. Sprzysiężenie Wysockiego, bo o nim mowa, zawiązało się 15 grudnia 1828 r., a jego pierwszymi członkami byli Karol Karsznicki, Stanisław Poniński, Kamil Mochnacki (brat Maurycego), Józef Gurowski, Seweryn Cichowski, Józef Dobrowolski, Aleksander Łaski i Karol Paszkiewicz. Była to młodzież – jak wspomina Mochnacki – „wychowana w rygorze klasztornym pod okiem carewicza, który ją na przemiany głaskał i drażnił, zapraszał do siebie na herbatę i nielitościwie karał podług humoru, wyćwiczona doskonale w obrotach wojskowych – bo każdy z podchorążych musiał dowodzić pułkiem, brygadą i dywizją w obecności carewicza – tchnąca duchem patriotyzmu, nienawidząca Moskwy, zapalona, bo młoda: nie była w rozumieniu Wysockiego złym narzędziem do zrządzenia wielkiego rewolucyjnego wstrząśnienia w Polsce”. Tajny związek rozrastał się z dnia na dzień zasilany wciąż przez nowych członków. Już w styczniu 1829 r. w jego szeregi wstąpili Mochnacki, Adam Gurowski i Adolf Cichowski, wprowadzeni do organizacji przez swoich braci – podchorążych. Na czele spisku stanął Piotr Wysocki, inicjator ruchu powstańczego. „Miał ten człowiek wielki geniusz we własnym sercu; myślał czując; rozumem jego była miłość ojczyzny, cokolwiek także miłość sławy i łatwość dobiecia pałasza w każdej chwili” – taki jego portret utrwalił Mochnacki w „Powstaniu narodu polskiego”, widząc w nim

prawą i uczciwą polską duszę. Ile razy zdarzało się mu być w Szkole Podchorążych, tyle razy ulegał atmosferze tego miejsca wytworzonej przez spiskowców, którzy w każdej chwili gotowi byli chwycić za szablę. Mówiąc o nich „burza zwarta w kilkunastu ognistych głowach”, myślał, że w każdej chwili może zamienić się w gwałtowny huragan zdolny zmieść nieprzyjaciela z powierzchni ziemi. Przebywając wśród nich, Mochnacki miał wrażenie, że nadchodzi ostatni dzień carskich rządów w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że podchorążowie byli młodymi zapalczykami gotowymi iść na śmierć, walcząc o niepodległość ojczyzny, ale sama determinacja nie wystarczała. Wręcz przeciwnie, mogła okazać się zgubna, groziła bowiem utratą nawet tej namiastki wolności, którą naród posiadał. I Mochnacki miał tego świadomość. Dostrzegał, że brakowało spiskowcom planu, przywódcy, dalszej perspektywy działania... Podchorążowie byli zbyt pewni, że cały naród stanie za nimi murem. Zdawali się nie dostrzegać, iż część Polaków może potraktować ich akt sprzeciwu wobec władzy jako gest straceńczy, zbyt ryzykowny i desperacki, by go poprzeć. W wyniku buntu Polacy mogli zbyt wiele stracić – tak myślała przynajmniej część społeczeństwa, w tym także cenione autorytety – Kazimierz Brodziński, Kajetan Koźmian czy Julian Ursyn Niemcewicz. Podchorążowie uważali zaś, że do nich należy pierwszy krok – wzniecić powstanie, a gdy akt ten zostanie zainicjowany, wtedy władzę oddadzą w ręce wybrańców narodu.

Wiosna 1829 r. obudziła nadzieję polskich patriotów ze sprzysiężenia Wysockiego, którzy weszli w porozumienie z przedstawicielami opozycji sejmowej – Małachowskim, Zwierkowskiem i Trzczańskim. Postulowali ci zamierzali wystosować do cara Mikołaja I specjalną petycję, w której domagali się przestrzegania konstytucji, wolności słowa i zniesienia komisji śledczych. W razie zaś odrzucenia ich żądań, użyć mieli wojska. Przedsięwzięcie to nie doszło jednak do skutku, ponieważ petycję zgodziło się podpisać zaledwie 28 posłów. Podchorążowie czekali więc na korzystniejszy moment, by wcielić swój plan w życie.

8

Koronacja Mikołaja I. Oficjalna wersja wydarzeń

Nadszedł kwiecień 1829 r. Warszawą wstrząsnęła niespodziewana wieść o planach koronacji Mikołaja I na króla Polski. Wiadomość ta wywołała ogromne poruszenie wśród podchorążych ze sprzysiężenia Wysockiego. Przybycie cara do stolicy Królestwa Kongresowego stanowiło dogodny moment, by rozprawić się z despotycznym władcą, doprowadzić do buntu, który ogarnąłby cały kraj, przeobrażając się w ogólnonarodowe powstanie. W takich okolicznościach zrodził się plan zamordowania cara i jego rodziny:

Mochnacki w „Powstaniu narodu polskiego” pisze: „Tytus Działyński napomknął Gurkowskiemu, czyliby nie można zebrać kilku odważnych ludzi i na przypadek, gdyby, jak głoszono, familia carska przybyła do Warszawy, postąpić sobie z nią bez żadnej ceremonii [...] dla dania tym hasła całemu ludowi w całej Polsce do rozkucia obcych więzów. [...] W istocie przedsięwzięcie nadzwyczajne! Główne siły moskiewskie były wtenczas na wschodzie. Polska w Królestwie Kongresowym i za Bugiem miała wszystko, czego



Piotr Wysocki, przywódca sprzysiężenia podchorążych

potrzeba do rozwidnienia ogromnego powstania. Podobny postępek z dynastią carską, jako odwet zemsty narodowej, miał w sobie dużo sensu: za sto lat zbrodni jedna chwila kary; jedna chwila, ale straszna! [...]. Podchorążowie nie wahali się ani chwili. Los Polski, Północy, może całej Europy jednym cięciem rozstrzygnąć – coś mogło więcej zgadzać się z ich temperamentem, z ich głowami?”

Tymczasem 19 maja „Gazeta Polska” donosiła o uroczystym wjeździe cara Mikołaja I z rodziną do stolicy Królestwa Polskiego oraz o jego powitaniu przez wielkiego księcia Konstantego, który stał na czele wojska formującego szpaler od nowego mostu na Wiśle aż do Zamku Królewskiego. Wśród żołnierzy witających wjeżdżającą do Warszawy rodzinę carską znajdowali się z pewnością spiskowcy ze Sprzysiężenia Wysockiego. Od dawna szykowali się do zamachu. Jeszcze przed przybyciem Mikołaja I planowano wysłać zaufanych ludzi za granicę, by wybadać nastroje wśród elit rządzących i ich poglądy na sprawę polską. Działalności miał pojechać do Berlina, by rozmówić się z posłem angielskim, a Potocki do Wiednia, by rozeznac się w sprawach gabinetu austriackiego. Małachowskiemu przypadło zaś w udziale wtajemniczenie w plany spiskowców obywateli z Galicji i Sandomierskiego, Zwierkowskiemu natomiast – posłów, a Gurowskiemu – kaliszczan... Nagle strach sparaliżował podchorążych. Wszystko wydawało się stracone, gdy Działalowski dowiedział się od zaufanego człowieka o zdradzie. Ostrzegł Gurowskiego i Wybickiego. Wiadomość tę utrzymali jednak w największej tajemnicy i postanowili działać dalej. Zbliżał się dzień, który miał o wszystkim rozstrzygnąć. Gurowski, który na kilka dni przed koronacją powrócił do Warszawy z prowincji, jak podaje Mochnacki, „znalazł związek w najsmutniejszym, najkrytyczniejszym położeniu: ci bowiem posłowie, których Zwierkowski o spisku uwiadomił, jednomyślnie protestowali [...] przeciwko gwałtownemu krokowi! Co większa, sam nawet Małachowski nie radził tego przywódź do skutku, w co pierwiej tak mocno wierzył. Podchorążowie, którym już ostre ładunki porozdawano w wigilię dnia mającego być dniem ostatnim dla dynastii carów, przepędzili noc przed koronacją w największej niespokojności”. Gdy Małachowski wstrzymał nagle decyzję o wcieleniu planu w życie, podchorążowie z Wysockim struchleli. W spisek koronacyjny wciągniętych zostało, jak twierdził Mochnacki, zbyt wielu ludzi, co mogło okazać się niebezpieczne dla całego przedsięwzięcia. Wysocki uważał siebie i innych konspiratorów za zgubionych. Lada chwila tajemnica spisku mogła się wydać, lada chwila mogła dotrzeć do uszu cara lub Konstantego.

Tymczasem nastął dzień koronacji Mikołaja I, 24 maja 1829 r. Nazajutrz na pierwszej stronie „Gazety Polskiej” zamieszczono szczegółową relację z wydarzeń, które przyjęte zostały przez Warszawian z nieskrywaną niechęcią, wrogością bądź obojętnością. W rzeczywistości była to przecież parodia aktu koronacji dokonana przez uzurpatora. W prasie warszawskiej nie mogły znaleźć ujścia prawdziwe nastroje panujące w stolicy. Pisząc o tym wydarzeniu,

należało więc albo zachować pozory – zmuszać się do radości i stwarzać iluzję entuzjazmu, który ogarnął tłumy wyczekujące swego „ukochanego” monarchy, albo zachować zimny obiektywizm beznamiętnego sprawozdawcy – powściągliwego i rzeczowego.

Na tle tego typu doniesień prasowych relacja „Gazety Polskiej” zawiera swego rodzaju podtekst polityczny odnoszący się do sytuacji historycznej Polski, czekającej długo, bo aż 65 lat na koronację nowego monarchy. Przywołuje pamięć Aleksandra I, który po kongresie wiedeńskim zawarł przymierze z naszym narodem, zapewniając mu prawa konstytucyjne. Zagwarantowana przez niego Ustawa Konstytucyjna przewidywała, że akt koronacji jest tożsamy z aktem przysięgi na dochowanie wierności tej właśnie Ustawie: „Wszyscy Nasi Następcy do Królestwa Polskiego powinni się koronować, jako Królowie Polscy, w Stolicy podług obrządku, jaki ustanowimy, i wykonają następującą przysięgę: »Przysięgam i przyrzekam przed Bogiem i na Ewangelię, iż Ustawę Konstytucyjną zachowywać i zachowania jej wszelkimi siłami przestrzegać będę«. Odwołując się do tych faktów, „Gazeta Polska” wyrażała oczekiwania swych rodaków względem ukoronowanego władcy. A pragnęli oni przecież sprawiedliwych rządów, przestrzegania konstytucji, przywrócenia wolności słowa, zniesienia komisji śledczych. Chcieli czuć się Polakami w swojej ojczyźnie i swoją polskość jawnie manifestować. Jeżeli koronacja ma być dniem radości dla narodu, to jego prawa powinny być respektowane. Oddajmy więc głos „Gazecie Polskiej” z 25 maja 1829 r.:

„Sześćdziesiąt pięć lat upłynęło, jak stolica Polski nie była świadkiem uroczystego i religijnego aktu koronacyjnego. W dniu wczorajszym odbył się ten obrzęd, który jest częścią i rękojmią naszych praw zasadniczych. W tym przeciągu czasu mieszkańcy jej, ileż to razy najsprzeczniejszych doznawali uczuć, ileż to razy wraz z obywatelami i mieszkańcami całego kraju, łzy wylewali i ocierali! Ileż ofiar ponieśli, ileż klęsk doznali! Od czasu ostatniego rozbioru Polski, dwa rządy wstrząsły ją i przeminęły, a stolica jej nie widziała pod nimi aktu, którego wielkim powołaniem jest, łączyć religijnie Monarchę z Narodem. Wiekopomnej pamięci Alexander, wrociwszy nazwisko krajowi, przywrócił także przymierze, które teraz Najjaśniejszy Następca Jego, raczył przypieczętować”.

Kolejny numer „Gazety Polskiej” z 26 maja zawiera zaś szczegółową relację z obrzędu koronacji:

„Już od rana napełniał lud okolice Zamku Królewskiego, a o godzinie 7 galerie nowo wstawione i wszystkie okna zajęte były. Według ogłoszonego programu, wyruszył świetny orszak z Zamku do Kościoła Św. Jana, udając się przez pomost od bramy Zamku aż do podwoi świątyni wystawiony i sukmem karmazynowym wybity. Order Orła Białego niósł wojewoda Fr. Grabowski; pieczęć królestwa minister sekr. stanu hr. Stefan Grabowski; chorągiew generała piechoty hr. Izydor Krasiński; miecz generała artylerii Hauke; płaszcz Królewski kasztelanowie: Sierakowski i Głiszczyński; kulę ziemską wojewoda Czarnecki; berło wojew. książę Adam Czartoryski; Koronę prezesu senatu hr. Zamojski. Prymas królestwa arcybiskup Woronicz na czele liczego duchowieństwa przyjmował insygnia, a wielką Mszę kompozycji rektora Elsnera wykonało 300 artystów; po Mszy Św. nastąpiły modły wraz z *Veni creator*, w czasie którego wykonano muzykę kompozycji pana Soliwy. Po nabożeństwie cały orszak połączony z duchowieństwem wrócił do Sali Koronacyjnej, gdzie przybyli także NN. Państwo i Ich Dostojna Rodzina, N. Pan w Koronie, w płaszczu Królewskim, mając w ręku berło i kulę ziemską, w towarzystwie N. Pani także w Koronie i płaszczu Królewskim, otoczeni Dostojną Śwą Rodziną, wyszli z Sali Koronacyjnej do Kościoła Św. Jana, wśród odgłosu dzwonów i huku z dział głooszonych radosnym okrzykiem ludu kilkunastu tysięcy na placu przed Zamkiem i na przybocznych ulicach zebranego. Z wejściem NN. Państwa do Kościoła, muzyka wykonała nowe na tę uroczystość ułożone *Te Deum*, pod dyrekcją K. Kurpińskiego. NN. Państwo złożywszy dzięki Bogu, wrócili tym samym porządkiem do Zamku. Po czym lud na pamiętkę tej uroczystości wśród okrzyku niech żyje Król, podzielił się sukmem, po którym NN. Państwo z orszakiem koronacyjnym przechodziło”.

Kawiarniane dysputy romantyków z „Gazety Polskiej”

Zycie literackie i polityczne Warszawy przeniosło się z salonów do kawiarni. Nawet klasyki spotykali się teraz na ulicy Długiej „Pod Kopciuszkiem” u Józefa Baldiego, stroniąc od salonu generała Wincentego Krasińskiego, który okrył się niesławą podczas procesu członków Towarzystwa Patriotycznego. W kawiarniach warszawskich ciągnęły się długie dyskusje na temat bieżących wypadków politycznych, z ust do ust przekazywano sobie wieści o przebiegu Sądu Sejmowego, układano programy literackie, recytowano wiersze patriotyczne, debatowano nad świeżo wydanymi książkami... Ulubionym miejscem spotkań romantyków z „Gazety Polskiej” i ich przyjaciół była kawiarnia u Brzezińskiej na zbiegu ulicy Kozej i Krakowskiego Przedmieścia. Do „cioci Brzezińskiej” już od pierwszej po południu



ściągali literaci, artyści i studenci, którzy popijając kawę i przeglądając najświeższą prasę, rozprawiali godzinami o polityce i literaturze. Dyskusjom tym sprzyjała szczególnie atmosfera wytwarzająca się wieczorem, gdy pani Brzezińska wnosiła specjalnie przygotowany przez siebie poncz, którym ochoczo raczyli się młodzi. Przy kawiarnianych stolikach można było tu zwykle spotkać redaktorów i współpracowników „Gazety Polskiej”. W towarzystwie prym wiedli Mochnacki i Bronikowski. Często gościł tu pochodzący z Podlasia Jan Ludwik Żukowski. Ten młody szermierz romantyzmu zamieszkał na łamach „Gazety Polskiej” swoje artykuły o poezji i sztuce, przedstawiając między innymi oryginalną koncepcję estetyczną wiążącą sztukę z postępem cywilizacyjnym. To gorący patriota, członek Związku Wolnych Polaków, miłośnik pieśni ludowych, które zbierał w okolicach Pilicy, a do tego żarliwy obrońca praw włościan w rozprawie „O pańszczyźnie” (1830). Można było tu również spotkać Józefa Bohdana Zaleskiego, romantycznego barda z Ukrainy, autora niezapomnianych dumek kozackich i Rusalek. Jego „brylantowy” styl wysławiał Mochnacki, kreując go na arcyministra czasów przedpowstaniowych. Od wiosny 1830 r. u Brzezińskiej pojawiał się też Seweryn Goszczyński, autor mrocznej powieści poetyckiej „Zamek kaniowski”, którego twórczość wyrastała z ducha ukraińskich stepów. To człowiek „podziemia” poszukiwany ustawicznie przez władze. Wyruszył nawet do Grecji, by jak Byron bronić wolności uciemzonego przez Turków narodu. Nie dotarł tam jednak ostatecznie, ale prowadził aktywną działalność konspiracyjną na ziemiach polskich i znany był jako twórca liryków humanistycznych o charakterze wolnościowo-patriotycznym. Młodzi romantycy zebrani u Brzezińskiej czytali z pewnością słynną „Ucztę zemsty” – najwybitniejszy chyba liryk Goszczyńskiego, przesycony elementami frenetycznymi, w którym powracał motyw krwi spełnianej pucharami i sztyletów – symboli zbrodni i zemsty zarazem. W gronie tym znaleźli się również: Maurycy Gosławski, piewca Podola, Dominik Magnuszewski, indywidualność dramaturgiczna epoki, Józef Bolesław Ostrowski, publicysta i pisarz polityczny, Kazimierz Władysław Wójcicki, badacz polskiego folkloru, a od 1830 r. Ludwik Nabelak – miłośnik starożytności słowiańskich. Obok pasji literackich i artystycznych łączyła ich miłość ojczyzny. Pragnęli niepodległości i nad sposobami jej odzyskania nieprzerwanie dyskutowali.

Koronacja Mikołaja I. Nieoficjalna wersja wydarzeń

A teraz czas na nieoficjalną wersję wydarzeń z dnia koronacji Mikołaja I, o których nie można było się dowiedzieć z prasy Królestwa Kongresowego, a które utrwalone zostały w prywatnej korespondencji świadków, w zapiskach pamiętnikarskich, w arcydziełach literatury romantycznej tej miary co „Kordian” Juliusza Słowackiego. Młody Słowacki, świadek koronacji zniechęconego przez Polaków cara Mikołaja I, donosił w liście swojej przyrodniej siostrze Aleksandrze Bécu o zadziwiającej wręcz okazałości uroczystości koronacyjnych. Opowiadał o wspaniale urządzonym amfiteatrze dla dam, z którego migotało mnóstwo różnokolorowych parasoli, powiewały strusie pióra i kwiaty doczepione do kapeluszy dam. Jednak ów amfiteatr zdaniem Słowackiego prezentował się o wiele lepiej z daleka niż z bliska, gdyż piękność pań, niestety, nie gasiła blasku i świeżości zdobiących je kwiatów. Nie obeszło się też bez zgrzytów podczas tryumfalnego wjazdu monarchy. Przy pierwszym wystrzale z armat kilku szambelanów pospadało z koni, a damy prezentowane cesarzowi ewidentnie się skompromitowały: jedna zamiast władcy oddała należne ukłony mistrzowi ceremoniału, druga zaś, „ściśniona od cesarzowej za rękę”, pocałowała ją w ramię. To incydenty mogące być co najwyżej powodem do śmiechu czy złośliwych żartów. Uroczystości koronacyjne obfitowały jednak w wydarzenia, słowa i gesty, które z pewnością musiały wywołać niepokój wśród Polaków, a nawet... przerażenie.

Najlepiej nastroje zebranych na placu Zamkowym i przed Katedrą św. Jana oddał Słowacki w „Kordianie”. Oto tłum trwa w oczekiwaniu na wyjście królewskiej pary ze świątyni. Zauważono wielkiego księcia Konstantego, który polecił, aby chór rozpoczął hymn. Słychać rozlegającą się muzykę i śpiew „Boże, zachowaj króla”. Jeden z ludu widzi, że „sypnęły się zielone szambelanów roje, / Pożółciałe haftami niby pszczoły z ula...”. Wtem dostrzeżono Mikołaja, a Żołnierz, stary patriota walczący niegdyś pod Maciejowicami, śpiewa: „Boże, pochowaj nam króla!”. To w istocie ironiczna trawestacja hymnu koronacyjnego. Szewc ostrzega Żołnierza przed otwartym wyrażaniem swoich poglądów, bo wśród tłumu pełno jest szpiegów z tajnej policji: „Ciszej no! Waść o królach gadasz tak zuchwale, / Jak gdyby szpiegi butów nie umieli skroić”, czyli napisać donosów. Słowacki przenosi nas następnie do wnętrza kościoła katedralnego, gdzie stajemy się świadkami aktu koronacji i przysięgi złożonej przez władcę:

„Cesarz stoi pod szkarłatnym baldachimem, na szczeblach tronu polscy dygnitarze państwa i jenerałowie moskiewscy... Prymas lud żegna i przystępując do Cesarza podaje mu koronę, Cesarz kładzie ją na głowę – kanclerz podaje na wezwaniu miecz państwa, Cesarz z mieczem robi znak krzyża na cztery strony świata.

Prymas podaje księgę konstytucyjną.

CESARZ kładąc rękę na księdze

Przysięgam!...

Znów cisza głęboka... Prymas odchodzi do ołtarza i intonuje psalm »Te Deum«.

To najwymowniejsza chyba scena obrazująca akt koronacji, a zarazem najkrótsza kwestia w polskim dramacie złożona z jednego tylko słowa – „przysięgam”, które miało wyjątkową moc sprawczą. W rze-

czywistości koronacja odbyła się nie w katedrze, ale na Zamku Królewskim, gdzie w obecności cesarskiej rodziny i dostojników państwowych, Mikołaj sam nałożył sobie na głowę koronę królewską. Wzbudziło to zgorzienie wśród Polaków, gdyż gest ten godził w naszą tradycję. Dotąd to prymas Polski koronował władcę. Równie wymowną była też scena po zaprzysiężeniu konstytucji przez Mikołaja I. Wówczas to, jak wspomina Leon Sapieha, „prymas miał mowę, którą zakończył słowami: teraz wykrzyknijmy jednogłośnie: niech żyje król nasz! I trzykrotnie zawołał: *vivat!* Za nim ani jeden głos się nie odezwał. Cesarstwo spojrzeli po sobie; znać było konsternację w ich twarzach” (Łojek, s. 265). Jeszcze inaczej fakt ten przedstawił Niemcewicz, pisząc: „Po koronacji, gdy prymas Woronicz zawołał *vivat rex in aeternum* – cichość powszechna. Nikt głosu tego nie powtórzył, taki bowiem był rozkaz. Każdy głos ludu, radości nawet, niemiłym jest despotom”.



Gdy w „Kordianie” orszak królewski opuszcza katedrę, Słowacki czyni nas świadkami strasznej sceny. W tłumie słychać kobiecy krzyk. Wśród zebranych krąży wieść o tragicznej śmierci dziecka. Okazuje się, że jej sprawcą jest wielki książę Konstanty. Świadek zdarzenia opowiada: „Książę uderzył starą kobietę z dziećciem, / Potknęła się i dziecko do rynsztoka padło. / Zbiegł się tłum... teraz cały ucieka przed księciem / I tylko widać starą nad dzieckiem kobietę, / Ciałem dziecę zakrywa... To odwaga rzadka!”. Wtem dwóch żandarmów porywa nieszczęsną – „zamiętli przed cesarzem krwią polane bruki...”. Na miejscu makabrycznych wypadków pozostaje lud – ponury i milczący. W końcu i on da upust swemu wzburzeniu, rzucając się na sukno pokrywające estradę i krzycząc: „To dla nas sukno! Dla nas! Rozerwać je w sztuki!...”. W istocie dramatyczny przypadek starcia kobiety z wielkim księciem znajduje swoje potwierdzenie w rzeczywistości. Jeden z pamiętnikarzy odnotował, że Konstanty „w ciągu pochodu cesarskiego z Zamku do katedry uniósł się gniewem i wykułakował tak mężczyzn, jak kobiety, które na placu Zamkowym zanadto zbliżyły się do szeregów wojskowych, chcąc się lepiej uroczystemu pochodowi przypatrzeć”.

Nadchodzą
trudne czasy, ale
podchorążowie
się nie poddają

W dzień koronacji nie ziściły się więc zamiary podchorążych. Mochnacki wtajemnicza nas w swym historycznym dziele w ich dramatyczną sytuację. Píše, iż nie chcieli zrezygnować z urzeczywistnienia swego przedsięwzięcia, a więc dokonania zamachu na cara Mikołaja I. Ich spisek mógł zostać w każdej chwili odkryty, dlatego należało podjąć szybkie działania. Postanowili, że to, czego nie udało się im osiągnąć na placu Saskim, dokonają podczas uczty dla ludu. Wysocki w tym celu podjął rozmowy z posłami uważanymi za patriotów, lecz i oni odmówili swej aprobaty. Uważali misję podchorążych za niepewną i niebezpieczną. Wszystko okazało się daremne! Mochnacki oskarża tych, którzy spiskowców ze Szkoły Podchorążych natchnęli niebezpieczną myślą, a potem udaremnił wykonanie zadania, wstrzymując tym samym zasadnicze zmiany, jakie nastąpić mogły po śmierci cara tak w Królestwie Polskim, jak i w całej Europie. Oskarża ich również o to, że narazili młodych patriotów na wielkie niebezpieczeństwo, szafując lekkomyślnie ich życiem. Mochnacki oddaje głos jednemu ze spiskowców, Aleksandrowi Łaskiemu, który w tym feralnym dniu dowodził podchorążymi na placu Saskim:

„Szła gra o całą Słowiańszczyznę; od Newy po Odrę byłaby się rozwikłała krwawa walka, rozpoczęta na Saskim placu ofiarą pomazańca i całej jego rodziny [...], kiedy na głowę swoją niepolską włożył koronę i berło najpiękniejszego rodu słowiańskiego śmiał porównać z astrachańskim, kazańskim i sybirskim. Że car nie odpokutował wtenczas za rozbiór Polski, że nie daliśmy wtenczas przykładu, jak okropnie mści się lud za całowieczne krzywdy swoje, za zbrodnię popełnioną przez koronowanych rozbójników, komuż to przypisać? Oto dyplomatyce! Oto właśnie takim ludziom, których zdaje się los nieżyczliwy Polaszce tak usposobił, żeby każdej rzeczy obawiali się przed skutkiem, żeby każdą wielką rzecz już wykonaną zmniejszali”.

Tymczasem cesarz utwierdziwszy po koronacji swą władzę nad Polską, czuł się bezkarnie. O przestrzeganiu praw i swobód konstytucyjnych nie mogło być mowy. *Status quo* miał zostać zachowany. Po ogłoszeniu przez Mikołaja I listy osób zasłużonych dla kraju nikt nie mógł mieć wątpliwości, co do utrzymania dotychczasowej polityki tłumienia polskości, którą do tej pory prowadzili wielki książę Konstanty i jego zausznik Nowosilcow. Wśród „nagrodzonych” znaleźli się m.in. generał Maurycy Hauke – bezwzględny wykonawca zarządzeń Belwederu oraz Stanisław Grabowski – minister „zaciemnienia publicznego”. Najwyższe odznaczenie polskie: Order Orła Białego otrzymali – generał Aleksander Różniecki za zasługi policyjne oraz generał Wincenty Krasieński za zasługi sędziowskie. Nadanie zaś orderu św. Stanisława wzbudziło chyba największe oburzenie, gdyż odznaczony nim został najbardziej zniechęcony warszawski szpicel – Hieronim Szymanowski – okryty niesławą jako szpieg i prowokator we wszystkich procesach patriotycznych tego czasu. W odwecie warszawscy studenci splełali mu „psi figiel”, bo na ulicach stolicy pojawił się pies z tymże orderem na szyi, ale policji nie udało się wytropić jego właścicieli, gdyż okazał się bezdomny i bezpański. Był to więc jawny nawrót do „konstantynowskich” metod rządzenia. Od dnia koronacji Mikołaj I przestał się już publicznie pokazywać swoim poddanym, zrezygnował też ze spacerów ulicami Warszawy, a przystęp do niego podczas capstrzyku został zabroniony, tak iż nikt nie mógł podejść do jego cesarskiej mości, by wręczyć osobiście prośbę lub petycję.

Podchorążowie jednak się nie poddali. Wyczekiwali na lepszy moment, by wzniecić powstanie narodowe. Rozszerzali swój związek. W szeregach wojskowych organizowali systematycznie konspirację, która miała dać narodowi hasło do walki. Rozpoczęte już dzieło Wysockiego rosło w tajemnicy i nabierało mocy. Lont został zapalony i wybuch miał wkrótce nastąpić...